

„Dajcie mi pieniądze za jeden dzień wojny!”

Raoul Follereau, założyciel Światowej Akcji Pomocy dla Trędowatych

Nikt nie ma prawa być szczęśliwym w oderwaniu od innych!

Miałem sen:

Pewien człowiek pojawił się na Sądzie Pańskim.

*- Spójrz, Boże - powiedział - przestrzegalem Twych praw,
nie uczynilem nic nieuczciwego, nic złego, nic występnego:*

Panie, moje ręce są czyste.

- Tak, tak - odpowiedział mu dobry Bóg - ale są puste.

Apel, w którym znajdują się powyższe zdania, ukazał się w roku 1949. Za jego pośrednictwem szeroka opinia publiczna dowiedziała się o walce na dwa fronty, którą prowadził czterdziestosześcioletni wówczas Raoul Follereau - z głodem i z sytością. „Musimy się dziś zdecydować - pisał Follereau - natychmiast i raz na zawsze. Albo ludzie nauczą się kochać, wzajemnie rozumieć, a człowiek zacznie w końcu żyć dla człowieka, albo ludzie zginą, wszyscy, i to wszyscy razem.”

Na „niegodne kompromisy” nie ma już czasu: „musimy się zdecydować (...) i naprzód nauczyć się żyć dla innych. Jeżeli tylko uda się nam myśleć o czymś innym niż o sobie, jeżeli w każdej minucie naszego życia, jedząc, śpiąc,

nie robiąc nic, albo robiąc coś gorszego, uświadomimy sobie, że istnieją ludzie, miliony ludzkich istot, naszych braci w Chrystusie, którzy głodują i marzną; jeżeli tylko uda nam się myśleć o innych, wówczas nie będziemy mogli jeść jak zwierzęta, spać jak bydło i nadal być naiwnie szczęśliwi. Jeżeli uda nam się zrozumieć nędzę innych, wówczas staniemy się naprawdę ludźmi”.

„Bomba atomowa czy miłość bliźniego?” - tak zatytułował Follereau swój apel. Początkowo wiele osób podśmiewało się z biednego idealisty i jego idee fixe walki miłości przeciw bombom wodorowym. Tylko skończony marzyciel mógł napisać: „Jestem pewien, że nadejdzie dzień, kiedy miłość zatriumfuje nad gwałtem, egoizmem i pieniądzem”.

Dziś, kilkadziesiąt lat później, jego akcja pomocy znana jest na całej ziemi. Raoul Follereau uświadomił milionom ludzi niewyobrażalną nędzę trędowatych i dał impuls do akcji pomocy na skalę światową. Jego przyjaciele, pełni podziwu dla niego, nazywali go „apostołem trędowatych”. Nic lubił słuchać takich pochwał - on, który bynajmniej nic wyglądał na pobożnego pokutnika, lecz raczej na lubiącego życie smakosza i doskonale pasowałby do wykwintnej winiarni. Będąc przy całej swej skromności trochę kokieteryjny, sam wynalazł sobie przydomek „wagabunda miłości bliźniego”.

Spór o krawat z Mussolinim

Młodemu Follereau - urodził się w roku 1903, w Nevers, jako syn przemysłowca - przepowiadano błyskotliwą karierę literacką. Mając siedemnaście lat opublikował swe pierwsze dziełko, Księgę Miłości. Gdy miał dwadzieścia pięć lat, jego wiersze deklamowane były w ramach „poetyckich poranków” w Comedie Francaise, a głośna aktorka Madeleine Roch otwierała mu drzwi do świata sceny. Różne jego dramaty osiągnęły ponad tysiąc przedstawień. Follereau musiał być naprawdę świadomym swych możliwości, zarozumiałym młodym człowiekiem. Przekorny i uparty pozostał w pewnym sensie całe życie, a ze swej krnąbrności i uporczywości czerpał siły do przetrwania.

Swój niesamowitych rozmiarów krawat artystyczny, czarny z ogromnym węzłem, uważał za symbol niekonformistycznej postawy. „Wyzwaniem” nazywał zaś monstrualną muszkę, dowód umiłowania wolności, która stała się jego „pierwszą wyzywającą i zazdrośnie strzeżoną namiętnością”, „protestem przeciwko zniewoleniu w sprawach mody”. Powiedział to również włoskiemu dyktatorowi Mussolinemu, który uczynił jakąś aluzję do krawata: „Ten rzucający się w oczy krawat jest dla mnie niezawodnym znakiem mojej indywidualnej wolności”. Śmieszne uzasadnienie, ale dosyć odważne wyznanie wiary wobec faszysty!

W „poetyckich dramatach” owego czasu - sentymentalnych wizjach lepszego świata, opartego na idealizmie i zaufaniu - pojawiają się już określone ideały jego późniejszego życia. „Nie ma marzeń zbyt wielkich - pisze na przykład. -Idź dalej, nie zatrzymuj się.”

Jakże pewne zwycięstwa są następujące słowa: „Trzeba mieć w sercu cudowną siłę, jeżeli się jest pewnym dobra, które się czyni... Ludzie nie zrozumieją naszych ideałów? Co z tego! Będą padać inwektywy, tchórzliwe i oszczercze? Odwagi, przyjaciele! Walka nie może nas wyczerpać, marzenie nigdy nie jest za wielkie! Najwspanialszą bowiem i najszlachetniejszą zapłatą - gdy tak stoi się samemu wobec setek ludzi i jest się prawie załamany - są przecież słowa, które możemy odczytać na dnie swego serca, słowa, które sumienie wypisało złotymi zgłoskami: Nigdy tobą nie gardziłem”.

Oczywiście Follereau był nie tylko poetą. Wcześniej już daje się zauważyć jego wybitny talent organizacyjny, zdolność powiązania poszczególnych akcji w jedno zaplanowane zadanie. Jego pierwszym tworem organizacyjnym jest Liga Unii Łacińskiej, której honorową przewodniczącą została księżna Vendome, a której cele sformułowano niezwykle pompatycznie: „Obrona cywilizacji chrześcijańskiej przed wszelkim pogaństwem i barbarzyństwem”. W wielu europejskich i południowoamerykańskich krajach Follereau zaczyna tworzyć organizacje filialne.

Decydującym bodźcem staje się jednak dla niego ruch zainicjowany przez Charlesa de Foucauld, dawnego oficera, który jako kapłan plemion wędrownych na Saharze północnej próbuje żyć Ewangelią. W niezliczonych prelekcjach Follereau popiera Małych Braci i Siostry Jezusa, którzy kroczą drogami wytyczonymi przez swego założyciela i żyją wspólnie z mieszkańcami slumsów, bezdomnymi i robotnikami fabrycznymi.

Krótko przed wybuchem wojny z Niemcami Follereau nieroztropnie opublikował w organie owej Ligi serię artykułów o całkowicie jednoznacznej wymowie, zatytułowaną: Hitler, oblicze Antychrysta.

Gdy hitlerowcy wkroczyli do Paryża, autor uniknął grożącego mu aresztowania, ratując się ucieczką do strefy nie okupowanej; później zszedł do podziemia. Ale mimo tak trudnych warunków jego aktywność trwała nadal: w 1942 roku zorganizował tak zwaną Godzinę biednych, a swą nową ideę popularyzował w nieogrzewanych salach, wygłaszając przygotowane w pośpiechu przemówienia, nierzadko przerywane alarmami lotniczymi.

Główna myśl tej akcji była następująca: każdy powinien przeznaczyć wynagrodzenie przynajmniej za jedną godzinę pracy w roku na pomoc dla najbiedniejszych. Nie chodziło jednak o to, by dał określoną sumę pieniędzy, by uwolnić się od uciążliwego żebraka, lecz by świadomie pracował przez godzinę dla niego, by ofiarował mu pewien czas w swoim życiu.

„Poprzez Godzinę biednych - głosił Follereau - chcemy stworzyć nieprzerwany łańcuch miłości... Na próżno próbowano złączyć ludzi przy pomocy wielkich ideałów, które bardzo często były tylko pustymi słowami. Jeżeli zwiążemy ich wszystkich we wspólnym dziele miłości, odnajdą być może drogę braterskiego współżycia.”

„Dzieło miłości” rozpoczyna się w bardzo skromnych warunkach. Follereau rozporządza zaledwie kartoteką z kilkuset adresami, którą jego żona zabrała ze sobą, gdy uciekali przed Niemcami. W pewnym małym hotelu odbywają się konferencje, w mieszkaniu młodej dziennikarki przepisuje się płomienne apele. Ale w ciągu następnego roku napłynęły odpowiedzi od 25 tysięcy ludzi i zebrano prawie pół miliona franków. W 1950 roku rozdzielono już 52,6 mln franków.

222

Do tego dochodzi Akcja Trzeciego Bucika, organizowana z okazji Bożego Narodzenia, która mobilizuje najmłodszych: do wystawianej tradycyjnie w wieczór wigilijny przy kominku pary bucików dzieci mają dostawić trzeci, którego zawartość przeznaczona jest dla ich potrzebujących rówieśników. „Kiedy mały Jezus przyszedł na świat - pisał Follereau w swym apelu - był biedny. Czy nie chcielibyście podzielić się z Nim swymi słodyczami i zabawkami?” Po paru latach w centrali było już 80 tysięcy paczuszek.

Zrozpaczony list pewnego marokańskiego przyjaciela zapoczątkował słynną „bitwę o chininę”: rejon północno-zachodniej Afryki nawiedziła niebezpieczna epidemia malarii. Gdzie znaleźć niezbędną do ocalenia życia chininę w okupowanej Francji?

Follereau i jego przyjaciele chodzą od apteki do apteki, opowiadają o tragicznej sytuacji po drugiej stronie Morza Śródziemnego. W ciągu kilku godzin grupie przyjaciół udaje się zgromadzić 12 tysięcy porcji chininy, później dalsze 50 tysięcy. Po dwóch tygodniach Follereau otrzymuje telegram od marokańskiego zakonnika: „Całkowity odwrót epidemii dzięki waszej pomocy. Serdeczne dzięki”.

W końcu w roku 1946 Follereau zakłada Ordre de la Charite (Zakon Miłosierdzia), wolną wspólnotę działających po bratersku ludzi. „Zawsze uważałem - powie kiedyś ogarniając myślą swe życie - że moje zadanie polega na tym, by pobudzać inicjatywy i wyrażać je w prostych i krótkich formułach, tak by mogły zadomowić się na trwałe w sercach tych ludzi, którzy słuchają mojego głosu. Ja miałem użyczać im skrzydeł, a następnie puszczać je wolno.”

„Moje imię - chrześcijanin”

„Egoista jest zawsze smutny - pisze ten ambasador miłości. - Egoista jest zawsze sam, zawsze tak postępuje, jak gdyby był szczęśliwy. Ale pośród swych sztucznych radości stwierdza z lękiem, że jego życie jest pozbawione blasku i bezsensowne, ponieważ jest właśnie nieludzkie.” Tylko miłość do bliźnich umożliwia człowiekowi wzniesienie się ponad rozkład śmierci. „Miłość jest wysłanniczką Boga, iskrą wieczności.”

Widać wyraźnie, że humanizm Follereau zawsze był czymś więcej niż niezobowiązujące hasło: „Bądźcie dla siebie sympatyczni!” albo praktyczna filozofia życia. Nie jakieś głębokie rozważania o mało harmonijnej strukturze wszechświata i stosunkach pomiędzy ludźmi stały się motorem jego zaangażowania, lecz najzwyczajsze przeżycie tego, że „miłość widzi w twarzy biednego, cierpiącego, prześladowanego, twarz Jezusa”. Ponieważ w każdym nędzarzu spotykał bezpośrednio i osobiście Chrystusa, dlatego musiał pomagać, długo nie pytając, nie rozważając i nie analizując.

Dopóki bowiem istnieje na ziemi choćby jeden człowiek cierpiący niewinnie głód, chłód czy prześladowania, dopóty posłannictwo miłości Chrystusowej nie będzie spełnione i nikt nie ma prawa próżnować. „Moim nazwiskiem jest człowiek - stwierdził z wielkim szacunkiem wobec niewierzących humanistów - zaś moim imieniem jest chrześcijanin.” Wiele jego medytacji i tekstów pobudzających do myślenia ma formę modlitwy i kończy się prośbą do Boga: „Niech nasze życie będzie odzwierciedleniem Twojej miłości!” Bowiem serce i tylko serce jest kluczem do Królestwa Niebieskiego.

Panie, naucz nas nie kochać już siebie i nie zadowalać się tym, że kochamy naszych bliskich i tych, którzy nas lubią.

Panie, naucz nas myśleć tylko o innych, a przede wszystkim kochać tych, których nikt nie kocha. Panie, pozwól nam boleśnie odczuwać cierpienia innych.

Panie, obdarz nas łaską zrozumienia, że w każdej minucie naszego życia, naszego szczęśliwego i przez Ciebie chronionego życia, istnieją miliony ludzi, którzy są Twoimi synami, a naszymi braćmi, a którzy umierają z głodu, choć na to nie zasłużyli, i umierają z zimna, choć na to nie zasłużyli...

Panie, zmiłuj się nad wszystkimi biednymi tego świata. Zmiłuj się nad trędowatymi, do których kiedyś na tym świecie się uśmiechałeś, nad milionami trędowatych, którzy swoje ręce bez palców, swe ramiona bez rąk wyciągają ku Twemu miłosierdziu...

I wybacz nam, że powodowani haniebnym lękiem, zbyt długo pozostawialiśmy ich w opuszczeniu.

Panie, nie pozwalaj dłużej, żebyśmy zupełnie sami mogli być szczęśliwi. Napęłń nas lękiem wobec cierpienia całego świata i uwolnij nas od siebie samych - bo taka jest Twoja wola.

Ktoś, kto jak Follereau widzi w potrzebującym pomocy nie godnego pogardy rozbitka życiowego czy uciążliwy obiekt biurokratycznej opieki, lecz biednego, bezsilnego Chrystusa, nie oczekuje rezultatów i nie przechwala się wdzięcznością obdarowanego.

„Miłości nie usprawiedliwiają odniesione przez nią zwycięstwa - mógł powiedzieć chrześcijanin Raoul Follereau. - Żaden jej ślad nigdy nie ginie. Każdy wysiłek podjęty z miłości, nawet jeżeli nie jest skuteczny, wiąże nas ściślej z Bogiem.” Jego wciąż powtarzana prośba brzmiała: „Przyjaciele, bądźcie tak dobrzy i nie zwątpcie nigdy w dobro, we współczucie, w to, co nazwałem miłością, która ratuje świat”.

Na wygnaniu, w pewnym klasztorze żeńskim w okolicach Lyonu, Follereau odkrywa w tamtych latach „najboleśniej uciskaną mniejszość świata” - trędowatych. W czasie licznych podróży dookoła

kuli ziemskiej odwiedza szpitale dla trędowatych w licznych krajach. Wstrząśnięty, rozpoczyna krucjatę przeciwko nędzy, którą zobaczył. Swe akcje pomocy organizuje wspólnie z żoną („największe szczęście mego życia”). Przemawia, pisze, zbiera pieniądze i podróżuje. W służbie trędowatym przejechał ponad 2 mln kilometrów i odwiedził 102 kraje.

Ale nic był to bynajmniej urozmaicony długi urlop. Z przerażeniem wspominają małżonkowie Follereau ową burzliwą noc, kiedy na środku Amazonki zepsuł im się silnik w łodzi i oboje, posługując się puszkami po konserwach, dopłynęli z trudem do brzegu, gdzie utknęli w trzcinach wśród tysięcy moskitów i ogromnych aligatorów.

W około pięćdziesięciu książkach i broszurach przedstawił Follereau nędzę, w jakiej żyją trędowaci. Większość z nich skazana jest na beznadziejną wegetację aż do śmierci. Oto jak wygląda jedno z owych „upiornych leprozoriów” :

„W odległości 15 kilometrów od wielkiego miasta ukrytych jest i zagrzebanych dwudziestu dwu trędowatych. Naznaczona cierpieniem twarz o zgasłych oczach; to ich szef. Prowadzi nas, zataczając się. Wizyta odbywa się szybko; nie ma co oglądać, tylko upadek i nędza.

W aptece są dokładnie trzy opatrunki. Podniesiono je chyba do rangi godnej obejrzenia osobliwości, ponieważ rany trędowatych są odkryte i krwawią. Najbardziej zdumiewające jest zresztą to, że w ogóle jest tam apteka. Zakład nie jest bowiem wcale oznaczony na mapie służby zdrowia. Upierne leprozorium, piętnaście kilometrów od wielkiego miasta.

Pytamy niewidomego:

- Jak jest u was z żywnością?

- Otrzymujemy (ciekawe od kogo) sto kilogramów ryżu raz na trzy miesiące - odpowiada. Jeżeli się nie mylę w obliczeniach, wynosi to 50 gramów ryżu dziennie na jednego chorego...

- Koniec z waszą niedolą - mówię do szefa. - Obiecujemy, że zajmiemy się waszym odżywianiem i zapewnimy wam opiekę. I to od zaraz!

Szef chce coś powiedzieć. Ponieważ się ociąga, staram się mu pomóc:

- Czy chcesz coś jeszcze? Powiedz. Nie bój się. Wówczas niewidomy mówi niezwykle łagodnym głosem:

- Czy mógłbyś nam przysłać łopatę i motykę? - A po chwili jeszcze ciszej, prawie zawstydzony: - Żebyśmy mogli pogrzebać naszych zmarłych. Rozumiesz, przy takim stanie naszych rąk...

Chciałoby się płakać zacisnąwszy pięści.

Nagle widzę, jak pewna sparaliżowana kobieta o częściowo amputowanych kończynach pełnie niby wstrętny rozczłonkowany robak po podłodze, zbliża się do mojej żony i podaje jajko. Jajko: całe jej bogactwo. Widziała, jak przyjechaliśmy eleganckim samochodem, czysto ubrani, z głupio-szczęśliwymi twarzami. Nie wie o nas nic, prócz tego, że mamy wszystko to, czego ona nie ma. Nie próbowała rzucać w nas kamieniami. Nic, przyszła, by wyciągnąć do nas rękę. Aby dać. Ona jest bowiem tą, która daje. Natychmiast. Z ciężkim sercem musieliśmy przyjąć dar, by wyświadczyć jej radość, że jest tą, która daje pierwsza.

Powoli, bardzo powoli odjeżdżamy... żeby przed samym sobą nie stwarzać pozoru ucieczki..."

Getta się otwierają

„Nędza w świecie musi zapłonąć w naszym ciele, doprowadzić naszą krew do wrzenia" - nawoływał Follereau, przedstawiając światowej opinii publicznej katastrofalne położenie trędowatych. Podczas 1200 imprez połączonych z wykładami małżeństwo Follereau zebrało miliony franków. Umożliwiło to utworzenie - obok wielkiego ośrodka dla trędowatych na 500 łóżek w Adzope, na Wybrzeżu Kości Słoniowej - małych osiedli, co pozwoliło na rozluźnienie dotychczas istniejących leprozoriów i zapewniło chorym ludzkie warunki życia.

W posłaniu skierowanym do Narodów Zjednoczonych w roku 1952 Follereau zażądał przekształcenia takich gett w ośrodki opieki nad chorymi i zapewnienia dla trędowatych w międzynarodowym statucie praw ludzkich. Dwa lata później jego wniosek jednogłośnie poparło francuskie Zgromadzenie Narodowe; przyłączyły się także: Grecja, Indie, Wietnam, Kolumbia i inne kraje. Parlament grecki zniósł izolację chorych na trąd ustawą z 6 września 1955 roku. W tym też czasie odbył się pierwszy Światowy Dzień Trędowatych, który dzisiaj obchodzony jest w 140 krajach w każdą ostatnią niedzielę stycznia, dzień śmierci Mahatmy Gandhiego.

Marzycielskie porywy Follereau traktował ze skądinąd obcym mu sarkazmem zaprawionym drwiną i miał nieomyślne wyczucie prawdziwości motywów osób proponujących mu pomoc i współpracę. „Nie chodzi o to - mówił -by iść do trędowatych powodując się ckliwymi i śmiesznymi romantycznymi uczuciami, z melodyjnym śpiewem współczucia na ustach. Trzeba się raczej zobowiązać do służby dla nich i przynosić im fachową wiedzę, zdobytą w wyniku niezbędnych studiów.”

Podobny niesmak wywoływała w nim pobożność wyrażająca się w jałmużnach i ograniczająca się do „owego protekcyjnego, łaskawego daru, który udzielany jest z góry, a który hańbi zarówno ofiarodawcę, jak i obraża obdarowanego. Jałmużny są karykaturą miłości!” Ograniczono miłość do jałmużny właśnie po to - zastanawiał się kiedyś - aby się od niej uwolnić: trudno jest bowiem kochać cały świat.

Pewnego dnia otrzymał przekaz na 10 franków oraz następującą prośbę napisaną na perfumowanym papierze: „Proszę nie przysyłać mi już tych zeszytych ze straszliwymi fotografiami trędowatych. Dwie noce męczyły mnie koszmarne sny. Przesyłam dziesięć franków na trędowatych, ale na miłość Boską, nie chcę już o tym więcej słyszeć!”

Follereau odesłał dostojnej damie jej dziesięć franków i odpisał z niezwykłą ostrością: „Oby Bóg uwolnił łaskawą Panią od nocnych koszmarów. Jest to największe dobro, którego mogę Pani życzyć aż do dnia, w którym owe fotografie, które uważa Pani za straszliwe (ach, żeby można sfotografować dusze!), nie będą wzbudzać u Pani jedynie przerażenia, a jeszcze mniej współczucia, lecz jasnowidzącą i odważną miłość. Zwacam Pani Jej pieniądze, ponieważ były źle dane i dlatego nie wiem, co z nimi począć. Da je Pani sama jakiemuś biednemu, gdy stanie się Pani zdolna - również za cenę miłych snów i spokojnych nocy - dostrzec jego nędzę i podać mu rękę.

Pani sądziła, że robi coś dobrego? W rzeczywistości chciała się Pani nas pozbyć. Nas i biednych. Czy to jest miłość? To miłość podobna do tej, gdy lubi się psa i rzuca mu się kość”.

Współczucie, „ta chorobliwa forma miłości”, jest bowiem dla Follereau zawsze jedynie wymówką. Wyraźnie stwierdza, że kwestii społecznej nie da się rozwiązać podarkami pod choinkę, a głodu nie zlikwiduje się zebraniem: „Miłość bliźniego to nie znaczy dawać, lecz dzielić”.

Biedny, nieszczęśliwy człowiek obok nas nie potrzebuje tego, co nam zbywa z naszego dobrobytu, lecz tego, byśmy dzielili z nim jego cierpienie, jego gniew i jego radość, byśmy wciągnęli go w naszą egzystencję. Łączy się to rów

nież ze stosunkami własności, z podziałem dóbr, ponieważ „miłość bez sprawiedliwości jest jak beczący baran!” Walka z trędem - podkreśla wciąż Follereau - nie powinna ograniczać się tylko do pomocy medycznej i budowania nowych leprozoriów. Ważniejsza jest dlań walka z „innym trędem”: ze strachem, egoizmem i tchórzostwem. Trąd jest taką chorobą jak inne, nie jest bardziej zaraźliwy i jest tak samo uleczalny, także w bardzo zaawansowanym stadium. Ale paniczny lęk przed trędem utrudnia, zwłaszcza w krajach ekonomicznie słabo rozwiniętych, każdą pomoc medyczną i skazuje chorych na niegodne człowieka życie w getcie.

Powiedział: „Nie zostanę tu”. Ale prawo mówi wyraźnie: trędowaci muszą być izolowani i zamknięci. Policja zajęła się sprawą. Można domyślić się jak. Uciekł. Znów go złapano, przywieziono w kajdankach. Powiedział: „Zrobię to znów”. I tak uczynił. Po raz drugi poszukiwała go policja. Wytropiono go, związano, przywieziono na miejsce. Powiedział: „Jeżeli mnie jeszcze raz wytropią, zabiję się”. Uciekł po raz trzeci. Ukrył się. Odszukano go i znów przywieziono.

Odebrał sobie życie.

„Oto małe dziecko - notuje Follereau podczas wizyty w jednym z leprozoriów - siedmio-, może ośmioletni chłopiec, tylko z niewielką plamą na czole. Pierwsze stadium trądu, który można by wyleczyć radykalnie najmniejszą dawką sulfonamidów. Skierowano go jednak do leprozorium. A z leprozorium już się nie wychodzi. Nawet po śmierci, ponieważ także ich cmentarz ogrodzony jest drutem kolczastym.”

Mówię do lekarza: - Doktorze, pan wie lepiej niż ja, że to dziecko nie zaraża. W ciągu paru tygodni może zostać wyleczone. Ale jeżeli tu pozostanie, pośród chorych, przeżartych syfilisem i trędem, jest zgubione. Zgnije jak wszyscy inni... Niech pan spojrzy, ten chłopiec potrafi się jeszcze uśmiechać. Niech pan otworzy przed nim drzwi. Ponieważ nic nie mówił, naciskałem:

- W tym wieku dziecko potrzebuje jeszcze matki. On przecież musi mieć gdzieś matkę... Trzeba ją odnaleźć! Wówczas spojrział na mnie oburzony.

229

- Ależ, drogi panie - powiedział - on jest tu bardzo szczęśliwy. Kupiliśmy mu rower."

A na jednej z wysp należących do kolonii francuskich „wagabunda miłości" odnalazł w oddziale dla trędowatych, oddzielonych od reszty szpitala kratą, całkowicie zdrową dziewczynkę, mającą około dwunastu lat. Jej nieszczęściem było to, że urodziła się na wyspie dla trędowatych. Nie jest chora. Ale jej rodzice byli trędowaci.

„To wystarczy - powiada Follereau - by zdrową, niewinną, miłą dziewczynkę skazać na życie w leprozorium aż do śmierci. I tak postępują ludzie, którzy chodzą do kościoła i są przekonani, że Bóg jest z nich bardzo zadowolony."

rym nie było kropielnicy. A dlaczego? Ponieważ także trędowaci, których nie leczono, pozostawiając ich własnemu losowi, zanurzali swe chore palce w poświęconej wodzie i na dnie kamiennej misy znajdowano skrawki ciała. „Zamiast leczyć trędowatych zabrano kropielnicę."

szczęśliwi ludzie, straszliwie szczęśliwi ludzie, nie robią nic. Ale nie chcą się do tego przyznać. Znają się na tym, jak zapewnić sobie spokojne trawienie. Robią to, czego ich nauczono. Nie robią nic, czego im zakazywano. Oczywiście więc, że Bóg jest im dłużny raj. Zresztą zapewnili sobie już tam miejsce: zapłacili z góry.

Dla nich religia jest polisą ubezpieczeniową od ognia piekielnego.

A zasypiając „drobnomieszczanie wieczności" przypominają sobie wygodną maksymę ze swego dzieciństwa: „Każdy dla siebie, dobry Bóg dla wszystkich".

Dobrze zabezpieczeni chrześcijanie

Strach i tchórzostwo, ograniczoność i rezygnacja - oto właściwe przyczyny nieopisanej wprost nędzy trędowatych. „Inny trąd" to korzenie wszelkiego zła; Follereau zalicza tu także nieczułość sytego społeczeństwa dobrobytu. „Wy, chrześcijanie - przemawia do swych współobywateli - którzyście waszą tak zwaną wiarę przekazali prostodusznie swym synom, którzy jesteście syci i dobrze zabezpieczeni, wyplacacie skarby miłości zapisanej wam w Chrystusowej Radosnej Nowinie w najdrobniejszych monetach."

Wyszła cywilizacja uczyniła z wiary „podręcznik dobrego zachowania i porządku", „w najlepszym wypadku ubezpieczenie przed ogniem piekielnym". Dla Follereau to za mało. Świat chrześcijański nie jest bowiem budujący i rewolucji społecznej, której żąda Ewangelia, nie można dłużej odkładać. Zdradą posłannictwa Chrystusa jest pragnienie zapewnienia sobie zbawienia i zapominanie przy tym o cierpiących nędzę bliźnich, po których stronie opowiedział się Chrystus.

„Od dwóch tysięcy lat - zastanawia się - istnieje chrześcijańska rachuba czasu... Kiedy jednak zaczniemy być chrześcijanami?"

Z oburzeniem opisuje kościół w pewnej wiosce, w któ

Przeciwko temu wszystkiemu Follereau chce krzyczeć, aż obudzi uśpione sumienie świata. „A ci, którzy chętnie zamykają oczy, którzy wolą być głusi, ci, którzy wkładają smoking, by ulepszyć świat, którzy rozprawiają o wielkim głodzie przegryzając ciasteczka, ci wszyscy w końcu mnie kiedyś usłyszą." Wówczas ludzie zrozumieją, że bogactwo jest „diabelskim szaleństwem" i że nie muszą już budować twierdz, by z nich chłodnym okiem patrzeć, jak umierają ci, „którym brak tego, czego oni sami mają za dużo".

Aby skłonić ludzi do takiego myślenia, Follereau przedstawia światowej opinii publicznej zawstydzające liczby: za pieniądze potrzebne na wyprodukowanie jednej torpedy lotniczej można by zapewnić dzieciom z dzielnic nędzy 16 tysięcy dni wypoczynku wakacyjnego. Za pieniądze użyte na budowę jednego nowoczesnego bombowca można by wybudować 30 szkół po 20 klas każda. Za pieniądze potrzebne do budowy jednego lotniskowca można by przez rok żywić 400 tysięcy ludzi... Najwyższy czas, by „śmiercionośną broń przekształcić w dzieło życia".

W roku 1944 Follereau skierował swój pierwszy apel do prezydenta Roosevelta. W rok później prosił prezydenta Eisenhowera i premiera Malenkowa o pieniądze za jeden samolot po każdej stronie. Za cenę dwóch niosących śmierć bombowców można by bowiem podjąć leczenie wszystkich trędowatych na całym świecie.

na ręce i zaniosłem na wagę. Ważyła 20 kilogramów. Teraz wiecie, dlaczego umarła.

Ponieważ byłem przerażony i wzburzony, powiedziano mi:

Tak jest od początku świata. Nic pan tu nie zmieni. To jest niemożliwe. Niemożliwe? Niemożliwe jest tylko to, że wy, że ja, że my możemy jeszcze jeść, spać i śmiać się, wiedząc że istnieją na świecie dwudziestodwuletnie kobiety które umierają, ponieważ ważą 20 kilogramów... Czy tak już będzie? To jest pytanie, na które mi odpowiedzieć.

U młodych ludzi postanie Follereau spotkało się z fantastycznym odzewem: trzy miliony młodych ze stu dwudziestu pięciu krajów podpisało list skierowany do Narodów Zjednoczonych z żądaniem, by każdy kraj na kuli ziemskiej przeznaczył pieniądze wydane przez jeden dzień na zbrojenia na walkę z głodem, chorobami i nędzą. I gromadzenie Ogólne w dniu 5 grudnia 1969 roku uznało propozycję Follereau za słuszną i postanowiło przedyskutować praktyczne możliwości wykorzystania zdobytych w ten sposób pieniędzy.

700 tysięcy dolarów od szacha

Follereau spodziewał się przełomu po tych wydarzeniach, ale gorzko się rozczarował. Większość polityków, przede wszystkim z krajów wysoko rozwiniętych, pominęła jego prośbę milczeniem. Z jednym wyjątkiem: właśnie rządzący po dyktatorsku szach perski, którego tron ociekał krwią torturowanych i pomordowanych, zadeklarował już w 1966 roku równowartość jednego dnia wydatków wojskowych swego kraju - było to 700 tysięcy dolarów - na pomoc dla trędowatych.

Tymczasem jednak akcje podejmowane przez Follereau zwróciły na siebie uwagę świata, a jego walkę z trędem śledzono z coraz większym zainteresowaniem i popierano.

Dziś już trzecia część trędowatych z ogólnej liczby 15-20 milionów poddana jest regularnemu leczeniu. Rozszerza się szybko sieć objazdowa międzynarodowej pomocy lekarskiej. Dzięki temu chorzy mogą być leczeni we wczesnym stadium. A im szybciej rozpocznie się leczenie, tym lepsze są widoki na pełne wyzdrowienie. Dlatego konieczne są zakrojone na szeroką skalę badania masowe, w krajach, w których występuje trąd, a są one bardzo kosztowne. Równie ważne jak budowa nowych szpitali jest rozbudowa programu kontroli i leczenia dla większych obszarów. Coraz częściej próbuje się włączyć walkę z trędem w ogólną opiekę zdrowotną. W ten sposób zapobiega się z jednej strony tworzeniu osławionych gett, z drugiej zaś ułatwia łączne leczenie trądu i gruźlicy.

Tymczasem poznano społeczne podłoże choroby: głód, niedożywienie, nędza. Żeby wykluczyć niebezpieczeństwo zarażenia, wystarcza najczęściej krótki pobyt w szpitalu i kuracja uderzeniowa odpowiednimi lekami. Później chory musi być jednak często leczony przez całe lata, aż wrzody, których nic czuje i dlatego wciąż sam się uraża, całkowicie się nie zagoją. Niezwykle ważne są też odpowiednie ćwiczenia obumarłych mięśni i nerwów: w kąpielach ugniatają oni na przykład rękami i nogami ciepły воск, by pobudzić kończyny do działania.

Istotną częścią walki z trędem jest rehabilitacja i ponowne włączenie ozdowieńców do społeczeństwa. Niektórzy przez całe życie pozostaną kalekami, inni cierpią z powodu szpecących blizn. W wielu ośrodkach rehabilitacyjnych dla trędowatych istnieją warsztaty, a ozdowieńców przyucza się do zawodu. Także naukowcy mają tu ogromne pole do działania. Przede wszystkim brak skutecznej szczepionki, nie udało się bowiem mimo wielu prób wyhodować bakterii trądu w laboratorium.

Co trzeci człowiek spośród 20 milionów jest już leczony - czy jest to deprymujący bilans? Nie, jeżeli się wie, co to znaczy: wyleczony z trądu.

Follereau opowiada o pewnej „przeklętej wsi”, w ogóle nie oznaczonej na mapie, której mieszkańcy nie figurują w kartotekach administracyjnych jako urodzeni. „Po prostu nie istnieją. To mówi wszystko.”

Dziesięć lat później: Światowy Dzień Trędowatych jest tu uroczystie obchodzony. Obecny jest prezydent republiki. „Kroczy on na czele imponującego pochodu nową ulicą, wybudowaną w miejsce dawnej nędznej drogi. (...) Rzucają się w oczy wielkie tablice z napisami:

Zasadziliśmy tysiąc palm oliwnych. A dalej: Wykarczowaliśmy 24 hektary. Zrobiliśmy z niczego urodzajne pola. Jeszcze dalej: Zasiałymi łąki. Kto to jest My? Trędowaci.

Tu trędowaci mają nazwę, tożsamość, rodzinę i przyszłość. Przez swą pracę znów odnaleźli się w

społeczeństwie. Pracują, a więc są ludźmi. Są ludźmi, a więc śpiewają.>, Cud? Nie, trąd jest uleczalny, jeżeli został dostatecznie wcześniej rozpoznany. Dotyczy to przede wszystkim setek tysięcy dzieci, które gdzieś zetknęły się z bakteriami trądu. Z Wurzburga walczy z trądem Deutsche Aussätzigen Hilfswerk (Niemiecka Akcja Pomocy Trędowatym). Do tej pory udzielono poparcia 600 najbardziej potrzebnym przedsięwzięciom w ponad 60 krajach na całym świecie. "Żeby praca mogła rozwijać się dalej, akcja pomocy opiera się na datkach 200 tysięcy ofiarodawców i 3 tysiącach honorowych współpracowników.

Na przykład w rejonie Chettipatty w Indiach, gdzie ruchome ambulansy obsługują regularnie 500 wiosek i ponad 9 tysięcy ludzi, wkład niemiecki wynosi 2,5 mln marek.

W Etiopii, gdzie w ogólnoafrkańskim ośrodku szkoleniowym kształcą się personel lekarski i pielęgniarski i równocześnie leczonych jest 12 tysięcy pacjentów, wkład niemiecki wynosi 4 mln marek.

Takie przedsięwzięcia napawały Follereau dumą; wyróżnienia, jakimi go zaszczycono, znaczyły dla niego naprawdę niewiele. Dwukrotnie otrzymał nagrodę Akademii Francuskiej Prix Monthyon, stał na czele Zakonu Miłosierdzia, był Kawalerem Legii Honorowej i Komandorem Orderu Stolicy Świętej. Uniwersytet kanadyjski Sherbrooke nadał mu tytuł doktora honoris causa. Poza tym Follereau był członkiem Akademii der Kolonialwissenschaften, członkiem honorowym Akademii Nauk Moralnych i Politycznych oraz honorowym przewodniczącym Międzynarodowego Zjednoczenia Pomocy Trędowatym.

W roku 1974 przewodniczący francuskiego Zgromadzenia Narodowego Alain Poher wespół z dwudziestoma dwoma rządami krajów przede wszystkim z Trzeciego Świata wysunął kandydaturę siedemdziesięcioletniego wówczas Raoula Follereau do pokojowej nagrody Nobla; daremnie. Trzy lata później Follereau zmarł.

Na zakończenie posłuchajmy go jeszcze raz:

„Z pewnej zagubionej w świecie wyspy na Pacyfiku pisał do mnie misjonarz pracujący przy trędowatych: Naszą największą troską jest w tej chwili plaga szczurów. Wie Pan, że w członkach zaatakowanych przez trąd często traci się czucie; zarówno w rękach, jak i w nogach. Nocami szczury zabierają się więc do dzieła. Nie ma prawie ranka, żeby jakiś chory nie obudził się z zakrwawioną nogą lub odgryzionym palcem. Błagałem o buty do ochrony dla nich. Często odsyłano mnie z kwitkiem lub - co gorsze - pozbywano się mnie ofiarowując mi buty nie od pary bądź takie, które nie nadawały się do użycia. Ale nawet jeżeli można by chronić nimi nogi chorych, to czuliby się oni tym upokorzeni.

Jest to obrzydliwe, prawda? Ale niech Pan posłucha dalszego ciągu, bo zakończenie opromienione jest niezwykłym blaskiem:

W parę tygodni później pisał do mnie znów ten sam misjonarz:

Tornado zniszczyło na naszej wyspie 170 domów i uszkodziło około 100. Oczywiście były to najłichejsze domy, a więc te, w których mieszkają najbiedniejsi. Dwa tysiące ludzi jest bez dachu nad głową i nikt się nimi nie zajmuje. Dziś rano przyszli do mnie moi trędowaci i powiedzieli mi: Zebraliśmy te trochę pieniędzy, które posiadamy. One są dla tych bezdomnych. Nie można, będąc nieszczęśliwym, zapominać o nieszczęściach innych.

Teraz niech Pan nie czyta dalej. Niech Pan raczej wstanie, podejdzie do lustra i przyjrzy się swej sytej twarzy, swemu przyzwoitemu ubraniu, pięknie wyczyszczonym butom, swym szczęśliwym dzieciom, mocnemu dachowi i swemu dobrze strzeżonemu życiu. I jeżeli nie uczynił Pan nic dla innych, niech Pan spróbuje wytrzymać własne spojrzenie!"

Fragment książki „Wielcy chrześcijanie XX wieku”, z języka angielskiego przełożyli: Andrzej Czarnocki i Tadeusz Szafranski, IW PAX i Wydawnictwo Królowa Apostołów, Warszawa 1993 s 219-236.